



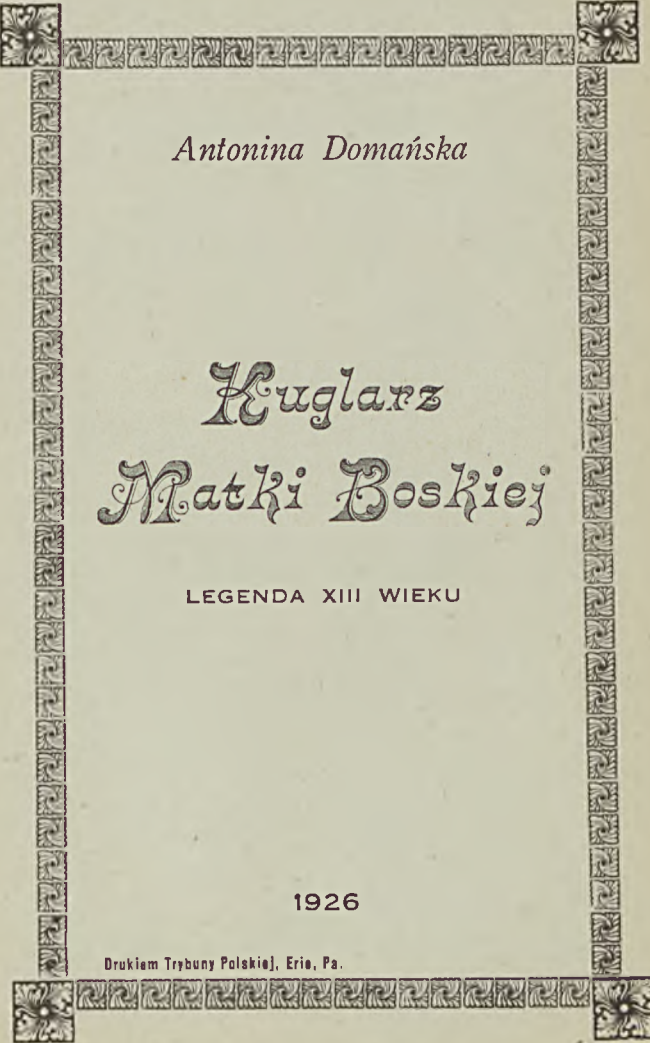
Antonina Domańska

*Kuglarz
Matki Boskiej*

LEGENDA XIII WIEKU

1926

Drukarnia Trzciana, Trzciana, Pa.



Antonina Domańska

*Kuglarz
Matki Boskiej*

LEGENDA XIII WIEKU

1926

Drukiem Trybuny Polskiej, Erie, Pa.

— Patrzcie, kuglarze jadą! kuglarze!

— Będzie też to uciecha!

Gromada wyrostków i dzieciaków biegła w podskokach, wyprzedzając dwa duże wozy, płótnem kryte, zawierające przybory do sztuk łamałych, składowe części namiotu i całe towarzystwo ubogich wędrownych akrobatów. Chude szkapy, zdrożone, wlokły się noga za nogą, a sam właściciel cyrku siedł z batem przy pierwszej bryce, by umniejszyć bodaj swoją osobą ciężaru biednym koniom.

Z pod płachty jednego wozu wyglądała śniada dziewczyna, Włoszka a może Cyganka; z dzurawej budy drugiego wyścibiały głowy dwie rude małpki, popluwały skórki pomarańcz na zbyt blisko przysuwających się ciekawców, i stroiły do nich szkaradne grymasy.

Radość gawiedzi objawiała się klaskaniem w ręce, dzikimi susami i jeszcze dzikszymi wrzaskami.

Mała karawana przeszła rynek i kilka wlic miasta i zatrzymała się w pośrodku dużego placu,



przeznaczonego zdawien dawna przez magistrat na targowicę była w dni jarmarków.

— Hola, hola!... — krzyknął jakiś mieszczanin, zażywający wczasu na podcieniu swego domu. — Hola, mości linoskoku, szarlatanie, zjadaczu noży! Pchasz się na wolnicę, jakby do własnego domu, a byłeś u burmistrza? Dał ci respons przychylny? Zapłaciłeś czynsz? Ot, obdartusy.. głodomory.. wydrwigrosze!.. Potrzebniście w Clermont jak piąte koło u woza. Żebyż to przynajmniej było odziane jak uczciwy chrześcijanin.... niech się każdy przypatrzy! Kubrak niczem ogień, prawie ubiór dla kata, albo oprawcy. Kaptur u kołnierza, jak ten worek od sera; ciekawość, po kiego grzycha te dzwonki, te kołatki, co tak trajkoczą za każdym krokiem? Aha... rozumiem.. żeby cię siostra Lucypera, twoja kumoszka, łacniej znalazła, jak jej zaginiesz. Pytam cię po raz wtóry, przybłądo z piekła rodem, byłeś u burmistrza?

Przedsiębiorca widowisk akrobatycznych i sztuk czarodziejskich zesunął skwapliwie kaptur z głowy i ukłonił się pokornie. Pogarda dla wilów, błaznów, linoskoków tak była w dawnych wiekach powszechną, że biednym kuglarzom w myśli nawet nie powstało, aby kiedykolwiek mogło lub mia-

ło być inaczej. Zżyli się z poniewierką, prawie jej nie czuli.

— Wybaczcie, eccelenza — odezwał się cyrkowiec łamaną francuszczyzną — jeszcze nie miałem czasu załatwić tych formalności.

— Formalności!... formalności!... Widzicie błazna włoskiego! To obowiązek twój, a nie formalność, marny komedjancie, stawić się w ratuszu i pytać uniżenie, zali zechcą cierpieć podłego linochoda w murach naszego sławetnego miasta.

Patrycjusz sławetnego miasta splunął z obrzydzeniem, a kuglarz nie skrzywił się nawet, ani też jednym ostrzejszym słowem nie odpowiedział na grubiaństwo; szepnąwszy coś do starego mężczyzny na drugim wozie i spytawszy któregoś z uliczników o mieszkanie burmistrza, poszedł we wskazanym kierunku. Udało mu się pomyślnie, bo wrócił z dobrą miną i natychmiast się wziął ze wszystkimi swymi ludźmi do ustawiania budy.

Mieszczanin ów, który go tak na wstępie zasypał obelgami, siedział jeszcze na ganeczku i pomrukiwał niechętnie. Ciekawość jednak przemogła, wstał z ławy, postąpił o parę kroków i przypatrywał się robocie.

— Skądże was licho aż tutaj przyniosło? — spytał wzgardliwie.

Ale kuglarz rad był widocznie nawet takiemu powitaniu, dowodziło ono bowiem pewnego zajęcia się jego osobą i przedsiębiorstwem. Odpowiedział tedy uprzejmie:

— Z Italji wędrujemy; raz na północ, raz na południe, to na wschód, to na zachód. Zatrzymujemy się po miastach, a nawet i wsi większych nie pomijamy. Ot, aby na chleb zarobić.

— Jak się nazywasz?

— Giovanni della Prestafuga.

— A z których stron?

— Mondovi moja ojczyzna. Przed dwoma miesiącami puściliśmy się w drogę po zimowym wypoczynku w domu.

— Nie lepiej to siedzieć w miejscu, a nie włóczyć się cygańskim obyczajem? — rzekł stary łyk trochę łagodniejszym tonem. — Toć nie tykając ciesiołki, najszlachetniejszego kunsztu, co go święty Józef ponad wszystkie inne wywyższył, a w którym i ja niegodny majstrem jestem, są przecie rzemiosła przeróżne; a najmarniejsze z nich nie czyni ujmę człeku. Zdrowego rozumu nie ma, kto obiera błazeństwo i pośmiewisko ludzkie.

— Ojciec się tem trudnił, u niegom terminował; nie kradnę, nie żebrzę, pracuję jak umiem.

— To mi praca! — zaśmiał się majster cie-

sielski — kozły magać, na rękach łązić, szklane skorupy łykać, albo jarzące węgle na dłoni trzywać.... Tfu!.... A nimeście tu przyleźli, gdzie byliście? — indagował dalej.

— Inośmy przeszli granicę, wstąpiliśmy na dwa dni do St. Etienne; potem byliśmy w Cadenet, w St. Remy, w St. Mamert.

— Ot, że po śmierci nieba nie zazna, to za żywota świętych się czepia! — znowu drwił mieszczanin.

Machnął ręką i poszedł na drugą stronę placu, do szynku pod złotą wroną, zakropić czczy żółądek jałowcówką i podzielić się z kumotrami świeżą nowiną o "komedjantach".

— Czy aby kłątwy na siebie nie ściągniemy, zbliżając się do czarowników? — spytał z obawą pan Justyn Froment, rajca miejski, trącając się kubkiem z cieślą panem Pawłem Lebrun.

— Ij.... co oni tam za czarowniki — z lekceważącym uśmiechem odpowiedział pan Paweł — poskaczą przed nami, podokazują, i tyle. Małpy mają.... widziałem na własne oczy.

— Co powiadacie? małpy? — zawołał pan Filip Mcunier, szewc z ulicy św. Benedykta. — Małpy? żywe? Jeszczem też nigdy takowych stworów nie widział. Trza będzie pójść zobaczyć.

Ino po prawdzie rzekłszy, boję się i ja, tak samo jak wy, panie Justynie. Ojcowie nie żartują, zwłaszcza wielebny Frumencjusz.... Ten ci ostry jak brzytwa. Gotów napędzić od konfesjonau bez rozgrzeszenia.

— Gdzie zaś.... tak sobie coś przybieracie do głowy bez racji — odezwał się milczący dotąd oberżysta. Toć nieboszyk Pan miłościwy, król Ludwik, co go święty Ojciec, papież Bonifacy w przeszłym roku kanonizował, z pewnością i małpy i linośkoków niejedną raz dopuszczał na swój dwór.

— Z pewnością powiadacie?

— Jako żywo. Juści nie dla własnej zabawy, ale ku niewinnej rozrywce młodzieży dworskiej. Cóżby w tem było grzesznego patrzeć, jak ktoś na rękach biega?

— A właśnie.... przeciwi się woli Bożej; wszak ręce do pracy stworzone, a nogi do chodzenia.

— Idźcie, idźcie z takim gadaniem! Ręczę własną duszą, że nie postradamy zbawienia, choć się naśmiejemy i uweselimy w budzie onego Włocha.

Na południe namiot był gotów, a pan Dyrektor stał przed drzwiami, krzycząc tubalnym głosem, co to za wspaniałe przedstawienie oczekuje

przybycia wielmożnej, łaskawej i sławetnej publiczności. Wyrecytowawszy program od A do Z, zatrzymał się dla nabrania oddechu; a córka jego Concetta, żona Giulia i stary Manuel, walili co sił w tamburina i mosiężne talerze, podskakując i przytupując nogami do taktu. Zaczem signor Giovanni della Prestafuga rozpoczął z odświeżoną werwą swe nawoływania.

Jakoś więcej się znalazło odważnych prócz pana Pawła Lebrun i oberżysty z pod złotej wrony, bo półkoliste ławy w namiocie kuglarzy wypełniły się szczerze mniej wykwintnem, ale zato hałaśliwym towarzystwem. Panowie Froment i Meunier usiedli przeczornie tu obok drzwi, by w razie zgorzenia lub czarów szukać ratunku w ucieczce.

Przedstawienie rozpoczęła sama pani dyrektorowa, kobieta dobrego wzrostu, szeroka w barach, zażywna, z czarnym wąsikiem, jakiegoby się i dwudziestoletni parobczak nie powstydził. Ukłoniła się z wdziękiem publiczności i klasnęła w dłonie. Dwaj pstro przyodziani błazenkowie wysunęli się z poza tylnej płóciennej ściany i podwieźli na przód sceny taczki szmatą przykryte. Z nich dobyli dwie sztaby żelazne w środku ścięzione, dla objęcia ręką, i stękając złożyli je na

ziemi, u nóg pani della Prestafuga.

— A to ci szalbierze dopiero! — odezwał się z grubym uśmiechem Wicek Larose, czeladnik rzeźnicki, znany siłacz na całe Clermont.

— Dlaczego szalbierze? — zapytał ktoś z drugiej ławy.

— A, bo udają, trutnie, że unieść nie mogą; a jabym przysięgał, że to drewno, pomalowane na żelazo.

— Nie przysięgajcie, panie, najprostsza rzecz spróbować — z uprzejmym ukłonem zapraszał pan dyrektor.

A pani przymrużyła oczy drwiąco i przygryzła wargi.

Wicek nie dał się dwa razy prosić, skoczył bez ceremonji poza sznur, odgradzający maleńką scenę od publiczności, ujął jedną sztabę prawą ręką, drugą lewą, przysadził się, sapnął kilka razy, i... nie podniósł żadnej.

Pani Giulia zachichotała półgłosem.

— Przyśrubowana do ziemi, czy co? Kat cię bierz, stara czarownica!

— Spróbujcie unieść jedną, może zdolicie — doradzała, nie przestając się uśmiechać.

Plunął w garści, rozstawił szeroko nogi, chwycił oburącz i dźwignął na stopę.

--- Do grzycha taka robota.... — mruknął ze złością, puszczając żelazo na ziemię.

Pani Giulia schyliła się w milczeniu, ujęła oba ciężary prawą i lewą ręką, wznosiła je powoli coraz to wyżej, aż zatrzymała wyprężone ramiona ponad głową; poczem również nie spiesząc się, ani okazując zbytniego zmęczenia, opuściła je i złożyła sztaby na ziemi.

Krzykiem i klaskaniem w ręce nagrodziła publiczność ten dowód olbrzymiej siły.

— Widziałem ja raz niektórego rycerza, zwał się Roger de Foy, na podziw mocarny to był człek — odezwał się Wawrzyniec Robin, kołodziej. — Jedną ręką podnosił dorosłego chłopca, ino go za ramię u pasa chwycił. Haki żelazne w kółko zwijał, kogo pięścią poczęstował w łeb, ten już nie wstał.

— A pomogła mu naco takowa nieludzka siła? — przerwał Justyn Froment, kiwając głową — poszedł z krzyżowcami na Saraceny i od strzały pogańskiej dosiężon, legł w pierwszej potyczce. Śmierć go skosiła jednym zamachem; nie znała respektu przed królewskim przyjacielem ani przed siłaczem.

— Patrzcie, patrzcie, coś nowego się zaczyna! Wbiegli na scenę dwaj młodzi gimnastycy

bracia Gismondi; przewracali kozły, biegali na rękach, toczyli się kołem, goniąc jeden drugiego. Następnie małpy jeździły wierzchem na psach i skakały przez obręcz. Potem pan dyrektor Giovanni rzucał nożem do czarnej deski i znaczył na niej gęstemi punktami równą linię poziomą, co także wzbudziło wielkie zdumienie.

— A teraz, sławetni panowie i zacne onychże połowice ujrzą najwspanialszą część przedstawienia, sztukę, jaką się żaden inny cyrk nie poszczyci. Oto signor Manuel, ekwilibrysta niezrównany, przejdzie po linii rozpiętej na trzy sążnie wysoko, z signoriną Concettą, stojącą mu na ramionach; sam zaś, by nie tracić drogiego czasu napróżno, będzie jedną ręką podrzucał i łapał dwie piłki, a drugą trzymał w równowadze talerzyk na drewnianej pałeczce.

— Ciekawość, czy połowę z tego dotrzyma, co obiecuje? — zawołał pan Jakób Dupuis, rymarz z pod zielonego niedźwiadka, trącając porozumiewawczo kunę swą, panią Magdalenę Poirier, przekupkę jarzyn z placu Świętych Aniołów.

— Po takich oszustach wszystkiego się można spodziewać — odparła niewiasta, ruszając ramionami — cały ich mniemany kunszt polega na zamydłaniu oczu ludziom, a nie na czem innem.

Tymczasem przez całą szerokość sceny przeciągnięto grubą linię konopną, z hakami po obu końcach, i zadzierżgnięto je o żelazne kółka, wśrubowane do dwóch pali, podtrzymujących dach namiotu. Widzowie przypatrywali się ciekawie tym przygotowaniom.

Za szarą płachtą, tworzącą rodzaj kulis, stał Manuel, przystrojony w atłasy i świecidła, w wysokim spiczastym kapeluszu, z twarzą pomalowaną szkaradnie. Przy nim Concetta w krótkiej spódniczce szkarłatnej, białej cienkiej koszulce z bufiastemi rękawami, ze złotą wstęgą w kruczych włosach.

— No, idźcie już; publika się niecierpliwi; słyszyacie, jak mruczą? Na co czekacie właściwie?

Manuel spuścił głowę, udał, że sobie poprawia kubraka, obejrzał miękkie sandały, czy dobrze przymocowane do nóg, wyprostował się, postąpił krok naprzód, i cofnął się nagle.

— Giovanni...

— Czego chcesz?

— Giovanni, wymyślcie na dziś co innego, słabym jest.

— Co znowu? Skąd ta choroba na zawołanie? — obruszył się dyrektor. — Zapowiedzia-



łem już twój popis, jakoż odwołam? Co dam natomiast?

— Concetta zatańczy farandolę, Bruno i Tonio....

— Nie, nie, ani mowy; próżniactwo cię ogarnia, czy co?

— Całą noc na wozie, duszno, gorąco, potem zbijanie desek, robota koło budy, a nie zapominajcie, że mam lat sześćdziesiąt pięć i siły zdarte.

— A to idź pod kościół żebrać, dziadu przekłety! Jak mi dziś wstyd przyniesiesz, znać cię nie chcę. Darmozjadów mi nie trza.

— Ino dziś dajcie mi spocząć; jutro znów będę skakał i brednie wyplatał.

— Dość tej mitregi.... marsz na scenę!

Błazen z ubieloną twarzą, o brwiach namalowanych sadzą w dwa cudaczne półkola, z ognistym czerwonym nosem, wybiegł z za kulis, przystanął na prodzie sceny i zawołał piskliwym, ostrym głosem:

— Oto Manuel.... urodziwy Manuel o kocich łapkach! Wspina się aż pod dach i pójdzie na przechadzkę po linie. Patrzcie i podziwiajcie!

Odpowiedziano śmiechem i oklaskami.

Podbiegła Concetta; zamiast ukłonu podskoczyła jak piłka i opadła zgrabnie na paluszki, po-

syłając rączkami całusy na dwie strony. Podobało się wszystkim, rzucono jej rześiste brawa, choć jeszcze nie było za co.

Stary linosłok czepił się sznura, zwisającego do ziemi, i rzeczywiście z kocią zręcznością posuwał się w górę. Dosięgnął liny, stanął prosto. Dziewczyńie przystawiono drabinę, przebiegła szczeble migiem i zanim widzowie zdążyli krzyknąć ach! już była na ramionach Manuela. Z dołu podrzucano mu dwie piłki, talerzyk i pałeczkę. Chwytał to wszystko w locie i rozpoczął swój popis.

Signor Giovanni, oparty o słup, śledził jego ruchy z niepokojem. Zazwyczaj Manuel kroczył po linie jak po najrówniejszej posadzce, śmiał się do publiczności i błaznował. Dziś widocznym było, że nie jest zbyt pewny siebie. Podrzucił wprawdzie piłki zręcznie lewą ręką, prawą puścił talerzyk w ruch wirowy i nieznacznym drganiem ręki utrzymywał go w równowadze. Ale na twarzy zagaśił głupi uśmiech, głęboka pionowa bruzda przecięła mu czoło, w twardo zaciśniętych ustach znać było najwyższy wysiłek woli.

Doszedł do połowy szczęśliwie, zrobił jeszcze dwa kroki i szepnął przez zęby:

— Concetta, ratuj się.... czarno mi w oczach.

Wygimnastykowaną dziewczyna zesunęła się z ramion Manuela, przeszła po linie w przeciwnym kierunku, zbiegła po drabinie do połowy szczebli, skoczyła lekko na scenę i już zwracała się z wdzięcznym uśmiechem do publiczności, gdy straszny krzyk grozy wydarł się z ust widzów....

Bezładne ciało błazna runęło z wysokości na ziemię z głuchym łomotem. Dyrektor i bracia Gismondi rzucili się na ratunek, dźwignęli zemdlonego i wynieśli za kulisy.

Przeminęła pierwsza chwila osłupienia, pan Jakób Dupuis machnął ręką lekceważąco.

— Myślicie, kumosiu, że mu się co stało?

Pani Poirier przeżegnała się z oburzeniem.

— Jakże się nie stało? Chyba ręce i nogi połamał... z takiej wysokości... Jezus!

— Aha, wszystko udanie; trzeba znać przemysły tych furfantów... zmówili się... czemuż dziewczka nie spadła, ino zeskoczyła jak fruczka, hę?

— Nie gadajcie; nie gadajcie, kumotrze... rymnął biedaczysko, aże ziemia pod nim jęka.

— Co miała jękać, piasku grubo na łokieć, a spodem rozmoknięta ziemia, lało przecie cały tydzień jak z cebra. Dobrze on wiedział, co robi.

— Niech nam odda pieniądze! — wrzasnął pan

Paweł Lebrun. — Cuda obiecują, a gdy przyjdzie co do czego, pac na ziemię i amen.

— Mało się to nadokazywali? A mały to nic? A onaż baba mocarna? A to rzucanie nożem? Nie narzekajcie, mieliśmy dość za nasze trzy sous — perswadowała mężczyznom pani Moutonnet, wdowa po bogatym młynarzu.

— Nie zwracaj nam pani głowy... wydrwigrasz jest i basta! — wrzasnął pan Paweł. — Ja wołam, niech odda pieniądze!

— Niech odda!

— I mnie też!

— Ja zapłaciłem za dwoje, ustąpił mi oszust jedno sous; ale gdy przedstawienia nie było...

— Jakto nie było? Godzinę się bawimy, jak hrabiowie!

— Powiadam nie było! Niech odda pieniądze!

Krzyki coraz się wzmagaly, wywoływano dyrektora. Panowie Froment i Meunier, troskliwi o dobro swej duszy, nie zapominali i o kalecie, krzyczeli najgłośniej.

Dyrektor i wszyscy artyści, zajęci trzeźwieniem omdlałego, nie zwracali uwagi na wzrastający hałas. Wreszcie, widząc, że Manuel otworzył oczy i pogląda coraz przytomniej, signor Giovan-

ni, pozostawił go staraniom kobiet, a sam wybiegł uspokoić publiczność; pewny był bowiem, że te przeraźliwe okrzyki są tylko objawem współczucia dla linoskoka.

Chciał przemówić, nie dopuszczono go do słowa. Kilkunastu mężczyzn otoczyło go ciasnym kołem, wyrażając pięściami.

— Oddaj pieniądze, oszuście!

— Co mi to za sztuki! Niech nie gada, że łązi po linie, kiedy nie umie! — wrzeszczał Wicek Larose. — Jabym to samo potrafił... Spaść na miękką ziemię, niewielkie cuda!

— A za co sobie każecie płacić? za niezdarów i niezgrabjuszów?

— Hej, wysyp, co masz w kabzie i oddaj za wstępy.

— Nie dotrzymałeś słowa, poganinie!

— Ależ, panowie... jak można żądać? Toć całe przedstawienie pięknie się udało; a że nie-szczęście...

— Aha, nieszczęście, zgóry ukartowane! Głupców z nas robisz?

— Oddawaj pieniądze!

— Nie mam ich. Kupiłem chleba i mleka dla nas, owsa dla koni i rozeszło się wszystko.

— A co? Nie gadałem, że szalbierze? Wyłu-

dzili co się dało, a teraz się z nas śmieją. Poczekaj, popamiętasz ty Clermont!

— Opowiemy wszystkim znajomym i nieznanym, coście wy za ptaszki! Żywy duch waszego progę nie przestąpi.

— Możecie sobie skakać na głowach, ani pies do was nie zajrzy.

Rzucając klątwy i najobelżywsze wyzwiska na bezecną zgraję kuglarzy, opuścili mieszczanie sławetnego miasta Clermont budę cyrkową.

Signor Giovanni w długich wędrówkach po Włoszech, Francji i Hiszpanji nabył nielada doświadczenia; wiedział, że takie groźby, choć niesprawiedliwe, bywają zawsze spełniane, że nie ma pogo zostawać dłużej w niegościnnych murach; owszem, skoro pierwszy brzask ukaże się na niebie, trzeba zwiijać płócienne płachty, wyciągać z ziemi z takim trudem wkopane pale, ładować wozy i wędrować znów, gdzie oczy poniosą. Tyle zachodu... opłata w ratuszu, kilka godzin pracy z ustawieniem budy, i naco się wszystko zdało! A właśnie tutaj, w Clermont, spodziewał się napewno obfitego zarobku i zamysłał pozostać ze dwa tygodnie.

Wpadł ze złością za kulisy, gotów bić pierwszego, co mu się nasunie pod rękę.

Na szczęście, czy na nieszczęście, Manuel nie roztrzaskał głowy; nie połamał ani rąk ani nóg, potłukł się tylko i czoło okrwawił. Słusznie mówił pan Jakób Dupuis; miękka po deszczu ziemia i gruba warstwa piasku ochroniły go od śmierci i kalectwa.

Siedział na sienniku z głową opartą o drewnianą ściankę, a Concetta, klęcząc przy nim, wlewała mu do ust wino z łyżki. Twarz, pokryta grubą warstwą bielidła, martwa była jak maska, ale oczy patrzyły przytomnie.

Dyrektor przyskoczył do biedaka z zaciśniętymi pięściami.

— Ty niedołego, mazganiu, gamoniu, drewniany bałwanie... ty stare próchno! Zapowiedziałem ci, że mi darmożądów nie trzeba. Wynos się... idź precz do stu katów, niech cię moje oczy nie widzą!

— Ależ, Giovanni... — słabym głosem bronił się Manuel — jutro zdrow będę; zobaczysz, co za salto mortale im palnę!

— Aha, jutro. Jutro miejsce po nas zastygnie. Takesz mi się przysłużył wyśmienicie, że muszę uciekać z Clermont, nim słońce wejdzie. Już się mi w St. Etienne splątał figla, zeskakując z trapeza, miasto czepić się go nogami i magnać piętnaście kozłów. Dziś powtórnie naraziłeś mię na

pośmiewisko i na straty; mam cię dość.... fora za drzwiami!

— Gdzież pójde?

— A idź, gdzie wola, choćby do Paryża. Miłościwy król przyjmie cię może za nadwornego trefnisia.

— O Marjo, Królowo Świata...

— Pomodlisz się jutro, na świeżem powietrzu; teraz umykaj, póki się lituję, bo cię kijem zmacam.

— Dajcie pokój, ojczy — wstawiła się Concetta — człek ledwie żyw, ustać na nogach nie zdoli, jakoż ma iść?

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Pomnijcie, że nawet w chwili, gdy miał upaść, jeszcze bardziej dbał o mnie niż o siebie; kazał mi się ratować. Gdybym była, zlążąc, nie potraciła liny, możeby się i on utrzymał, albo też spadlibyśmy oboje, a wtedy, nikt nie wie, co by się ze mną stało.

— Ot, bajdy i tyle. Stary dziad kości nie połamał, a tybyś się była zabiła, hę?

— Ja ino powiadam, nikt tego nie wie...

— Schowaj rozum do kalety, a głowę zamknij na kłódkę, dość mam tego wszystkiego. Ani wiem, gdzie jutro jechać, ani co będziemy jedli, o głodzie sobie poskaczecie, bo w kabzie pustki...

Łeb człeku pęka!.... A ty mi, koślawcze obmierzły, pamiętaj, aby mi za godzinę znaku po tobie nie było.

Wyszedł na plac i chodził wzburzony dokoła namiotu, przemyśliwając, gdzie mu się wypadnie skierować. Czy na wschód do Gignac, a potem.... zuchwalstwem nadrobić i aż do wielkiego Montpellier, gdzie już nie takich sztukmistrzów widywano.... Czy na północ przez Montpeyrroux do Lodeve? Czy na południe do Pezenas? Ta ostatnia myśl uśmiechała mu się najbardziej: zaraz niedaleko Beziers i dużych wsi kilka w okolicy; a wreszcie Narbonne, gdzie już był kilka razy, zawsze go dobrze przyjmowano, i z pełną kieszenią odjeżdżał. Można by się kopnąć i do Hiszpanji, tam znają trupę signora della Prestafuga.

Z godzinę trwały te medytacje, jakoś powoli naprawiał się humor pana dyrektora. Postanowił okazać się wspaniałomyślnym i przebaczyć winowajcy, zwłaszcza, że narazie nie miał nikogo na jego miejsce. Lecz gdy wszedł do sypialnej izby, zastał kaganek dogasający, żona i córka spały za płócienną przegrodą, a po drugiej stronie rozlegało się donośne chrapanie braci Gismondi. Manuela nie było. Bura opończa jego, która zazwyczaj leżała na ławie lub na sienniku, także się gdzieś podziała. Signor Giovanni rozejrzał się po wszyst-

kich kątach, poszedł z kagankiem na scenę.... może tam ukrył się stary głupiec przed jego słusznym gniewem. A może położył się przy koniach? Nie; nigdzie go nie było.

Ruszył ramionami i mruknął:

— Przylezie jutro; niema strachu o taką zgubę.

— A jednak.... zguba się nie znalazła.

Biedny stary kuglarz przeczekał, aż się wszyscy spać pokładli, bo ani signora Giulia, ani Concetta nie chciały go wypuścić słabego w ciemną noc na puste ulice obcego miasta. Wyszedł pociachu, i tak się złożyło, że nie spotkał pryncypała, choć ten obiegał namiot dokoła.

Manuel, oszołomiony upadkiem, potłuczony, obolały, nie miał siły ogarnąć myślą swego położenia; nadomiar złego nieludzki postępek signora Giovanni uderzył weń jak obuchem i prawie mu zmysły pomieszał.

Wyszedł z cyrkowej budy w błazeńskim przebraniu, w czubatym kapeluszu, nie zmywszy z twarzy ohydnej maski; instynktownie tylko zarzucił na ramiona sukienną mantę, bo go dreszcze przelatywały. W głowie mu szumiało, ani wiedział gdzie iść, gdzie szukać przytułku, zataczał się jak pijany.

Minął jedną wąską ulicę, zawrócił na lewo,

nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi. Znowu kilkadziesiąt kroków, znowu jakiś zaułek.... domy o wysokich dachach, czerwoną dachówką krytych, bramy pozamykane....

— Co począć, o Boże! Kolano coraz gorzej puchnie; zapukam do tych drzwi, domostwo niepozorne, może tam ubodzy ludzie mieszkają; biedny biednemu litościwszy niż bogacz.

Poruszył klamkę, nieśmiało.... cisza.

— Śpią wszyscy; jak ich pobudzę, gotowi się gniewać. Ha, darmo.... niech i wybiją, byle dąli gdzie się położyć.

Zdjął z gwoźdźcia młotek, przykuty do bramy na łańcuszku, i zakołatał silnie. Ktoś skrzesał ognia, w izbie na dole błysnęło światło, biała ręka uchyliła okna.

— Cóż to za brewerje? Kto się tłucze? Co się tam dzieje?

— Wybaczcie, wasza miłość; chory.... stary podróżny, prosi pokornie o nocleg.

— Podejdźcie bliżej, niech widzę, czy prawdę gadacie.

Manuel stanął pod oknem, niewiasta zaświeciła mu kagankiem w oczy.

— Wszyscy święci ratujcie.... djabeł! Lucyper! Idź precz, szatanie! Wara ci od chrześcijańskiej duszy!

— Zlitujcie się, pani wielmożna!....

— Zgiń, przepadnij, poczwaro piekielna!....
Aniele Stróżu, odpędź od mego proga to straszdyło!

Zatrzasnęła okno, zgasiła światło; Manuel powędrował dalej. Nie śmiał już nigdzie więcej pukać, gorączka rozbierała go coraz bardziej. Chwilami tracił przytomność, macał przed sobą rękoma jak ślepy, to znów przedstawienie wczorajsze jawiło się przed nim w najdrobniejszych szczegółach. Zdawało mu się, że idzie po linie z Concettą na ramionach.... stawiał nogi ostrożnie, w równych odstępach, rozkładając szeroko ręce dla równowagi; nie czuł bólu w kolanie, przejęty niebezpieczeństwem chwili.... Już, już dosięgał celu, już słyszał klaskanie w ręce i okrzyki publiczności.... wtem.... rozplywały się w powietrzu majaki, spostrzegał ze zdziwieniem, że jest na ulicy, że noc, gwiazd na niebie jak maku, cisza dokoła.

Posuwał się, kulejąc i czepiając murów, szedł prosto, albo zawracał w jakieś ulice bezmyślnie, i znowu się gubił w gorączkowych zwidywaniach.

— Giovanni.... dajcie mi spocząć.... ino jeden dzień.... w głowie jak we młynie.... serce się tłucze.... pomacajcie sami.... jakie młoty!.... Concetta, ratuj się!....

Upadł z jękiem na ziemię.

Obudził się.

— Co to takiego?... Jakaś izba czyściutko bielona.... Gdzieżem jest?....

Przez otwarte okno słońce wpada szeroką strugą, w tej świetlanej strudze roją się pyłki drobnouchne; skaczą w górę, opadają na dół, biegną ku sobie, zderzają się, uciekają, wirują.... A w każdym pyłeczku kruszyna tęczy zakłęta. Mieni się ten promień stubarwny, aż oczy bolą patrzeć....

Więc Manuel zamyka oczy i śpi dalej.

— Jakże cicho, błogo, spokój miły.... a pachnie coś tak cudnie.... co to pachnie?... żebyż odgadnąć!.... Aha, prawda, kwiaty wonieją.... pewno pod oknem ogród.... Ach, jak dobrze, dobrze.... trzeba spać....

— Ojciez wielebny, otworzył oczy.... raczcie popatrzeć sami; zda się, całę przytomnie pogląda.

Nad łóżkiem pochylił się mnich, benedyktyn, człęk niemłody, o twarzy rozumnej i dobrotliwej. Bystre oczy przyjrzały się uważnie Manuelowi.

— Tak, oprzytomniał; a już się lękałem, że ta gorączka życie mu weźmie. Przemówię do niego, przekonamy się, załi rozumie. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Po wszystkie wieki amen — odpowiedział chory cicho, ale wyraźnie.

— Jakoż się czujesz, bracie?

— Głodnym jest bardzo.

— Dobry znak; już i po chorobie, kiedy się jeść chce — odrzekł zakonnik wesoło. — Ino nie spodziewajcie się wiela; kubeczek polewki, to cały wasz obiad na dzisiaj.

Manuel skrzywił się żalęśliwie.

— Nie żałujcież mi kęsa chleba.... od wczoraj nic w ustach nie miałem.

— Od wczoraj? — powtórzył młodszy bracišek ze śmiechem — trzy tygodnie minęło, jakeśmy was naleźli niemal martwego pod murem klasztornym. Nie ocknęliście się cały ten czas ani razu, a wielebny ojciec ino was czystą wodą poił a wina kropelką.

— Cicho, cicho, nie rozmawiaj z chorym, bo go utrudzisz — rzekł starszy zakonnik. — A ty, bracie, leż spokojnie, ani głowy nie unos nad poduszki; staraj się spać, a pozdrowiejesz rychlej. Jeszczeć to nie koniec biedy; ostrożnie z nieprzyjacielem, jakby gorączka powróciła, jużbym cię chyba nie zdołał uratować. Śpij, przyniosę ci dobrej, mocnej polewki na cielęcem mięsie.

Nazajutrz było choremu lepiej, a po tygodniu tyle mu sił przybyło, że mógł siedzieć parę godzin oparty o poduszki. Niebawem zaczął wstawać, zdrowie wracało.

Opowiedział ojcu Hugonowi, opiekunowi

swemu. w chorobie, całe swoje nędzne i utrapione życie, od dzieciennych lat w budzie cyrkowej, aż do ostatniego wypadku, który omal śmiercią się nie zakończył.

— A teraz co myślisz począć ze sobą? — spytał zakonnik.

— Pójdę, gdzie oczy poniosą; siądę zebrać na kościelnych schodach, albo zamrę gdzie pod płotem.

— Radziłem się ojca przeora i pozwolił mi zatrzymać cię tu w klasztorze, gdybyś miał chęć ostać przy nas.

— Gdybym miał chęć? Toć mi litość świadczycie, wasza wielbność, łaskę, dobrodziejstwo.. anim wart, ani dziękować nie umiem!

Upadł do nóg ojcu Hugonowi i płakał.

— Tedy wszystko w porządku. Zaprowadzę cię do ojca Ambrożego, jemu się pokłoń, bo za jego pozwoleniem się to stało.

Stary laoskok został załączony w poczet braciszków służebnych, do pomocy w lżejszej pracy.

Na początek, że to świeże powietrze każdemu zdrowe, a nie dopiero po ciężkiej chorobie, zaszła go brat Gerwazy, ogrodnik, do plewienia grządek warzywnych.

— Może nie znacie takiej roboty? — spytał, odchodząc.

— Juści, nie plewiłem nigdy — odpowiedział stary — alem przecie nie dziecko, chwasty wyrzucę, a co piękne zostawię.

Brat Gerwazy poszedł zajrzeć do sadu i do pasieki; nie było go z pół godziny. Manuel, ucieyszony, że bodaj czem potrafi okazać wdzięczność dobrem ojcom, zabrał się szczerze i pilnie do roboty. Wtem.... poczuł na swem ramieniu twarde dotknięcie ręki. Obejrzał się. Ogrodnik stał przed nim, czerwony ze złości jak jendor.

— Człowiecze.... głupi dziadu.... co wyprawiasz!

— Ano spieszę się co ino sił, alem jeszcze nie chybki; powoli mi robota idzie.

— Łaska boska.... coby się stało, gdybyście byli przy dobrem zdrowiu!

— Albo co?

— Jak Boga kocham, nawet nie wie, co zbroił! Przypatrzcież się: marchewka, cebula, pietruszka, pory, bób, koper, wszystkoście powyrywali; a lebia, krwawnik, psi rumianek, pokrzywa, łopuch, zadzierają nosy, jakbym to dla nich ziemię spulchnił i dwa razy dziennie podlewał. Narobiliście szkody; dzięki Panu Jezusowi, zem jeszcze w porę nadszedł!

— O mój Boże.... a ja myślałem, że właśnie chodzi wam o te duże ładne roślinki, a nie o jakiś

marny drobiazg, co ledwie na cal odrósł od ziemi.

— Idźcie już sobie.... miałbym każdy listek pokazywać i uczyć was, to wolę sam plewić choćby cały tydzień.

W kilka dni później, gdy zadzwoniono na jutrznię, cała bracia klasztorna zgromadziła się w chórze dla odśpiewania porannych modłów. Manuel, czując się zupełnie zdrowym, uważał za święty obowiązek stawić się na to nabożeństwo.

Ojciec Telesfor zaintonował pieśń do Matki Boskiej, a wszyscy ojcowie i bracia wtórowali mu pięknie i zgodnie, czytając słowa z brewjarzy, opartych o pulpity. Biedny stary pajac nie umiał po łacinie, ucha muzycznego nie miał nigdy, zgryzota zalewała mu serce, że milczy, gdy inni śpiewają. Otworzył więc księgę na jakiegokolwiek stronie i wypuścił ze ścieśnionego smutkiem gardła głos drżący i szkaradnie fałszywy. Brat Kosma i brat Longin, siedzący obok niego po prawej i po lewej stronie, drgnęli, jakby ich kto szydłem ukłuł.

— A zmilknijże, nieszczęśniku.... przeszkadzasz modlić się swoim skrzeczeniem! — syknął mu Longin w ucho.

Pochylił głowę na ręce i szlochał cichutko.

Po jutrzni ksiądz przeor i inni ojcowie odprawili msze święte i przeszli wszyscy do reflektarza.

— Pobiegnij-no który po mleko do stajni — rzekł brat szafarz — krowy już wydojone a brata Modesta jakoś nie widać.

— Ja pójdę — ofiarował się Manuel.

— Idź, idź, a pośpiesz się. Masz tu dwa dzbany.

Z reflektarza do stajni był dobry kawał; stary biegł, aż się zadyszał. Noga, stłuczona w kolanie po owym upadku z liny, nie bolała już wprawdzie, ale stąpała jeszcze niepewnie. Postawił dzbany na ławie, brat Modest napełnił je ze skopca, i znowu go przynaglił słowami "a spiesz się!"

Nie miał już siły biegnąć, musiał zresztą uważać, żeby się mleko nie wychłupało, szedł więc tylko dobrym krokiem, choć mu półwiadowe dzbany dobrze ciążyły.

Aż tu Brigand, pies podwórzowy, rzucił się ku niemu w olbrzymich susach, szczekając wesołe dzień dobry. Zaskoczył go ztytu niespodzianie i trącił tak mocno, że ani się obaj opatrzyli, jak leżeli na ziemi, a ze stłuczonych dzbanów mleko się wylało do kropli.

Tego już było Manuelowi zanadto.... Nie próbował wstawać, ani wracać po inne mleko, siedział bezradny wśród białej kałuży, a Brigand, nie tracąc chwili, złopał smaczne śniadanie i powarkiwiał z zadowoleniem. Tak ich zastał brat szafarz, gdy

sam biegł do stajni, zniecierpliwiony długiem czekaniem.

— — — — —
Dni upływały zakonnikom w pracy i modlitwie; każdy pełnił gorliwie swe obowiązki, mało kiedy ojciec przeor znalazł co do zganienia, choć dla utrzymania braci w pokorze i posłuszeństwie strofował czasem za jakieś drobnostki. Jedynie Manuel mącił spokój klasztoru; a i jego niepodobna było surowo łajać, ani obarczać pokutami, zawsze pełen dobrej woli, grzeszył jedynie przez nieświadomość. Każdemu chciał się przysłużyć, podejmował się każdej roboty, a czego się tknął, to zepsuł, albo wykonał przeciwnie, niż mu kázano.

Od czasu owej długiej gorączki postarzał się bardzo i zniedołężniał, a przeszło sześćdziesiąt lat, przeżytych po budach cyrkowych, nauczyło go tylko sztuczek kuglarskich i błaznowania. To też w otoczeniu bogobojnych i poważnych zakonników dziwnie odbijał ten stary dzieciak. Wiek i poniewierka przytępiły jego pojęcie. Ojciec Hugon wziął się, że go nauczy służyć do mszy; i.... nie dał rady.

Minął rok; Manuel, jak w pierwszym dniu, tak i po miesiącach ciągle był do niczego. Braciszko wie podrwili z niego, a gdy któremu ofiarował się z pomocą, zawsze oberwał burę. Wkońcu i sam już biedaczysko zrozumiał, że, zamiast odwdzię-

czać się ojcom za opiekę, jest tylko darmozjadem. Żałość go zdjęła, pewny był, że ksiądz przeor nie zechce cierpieć takiego zawalidrogi i prędzej czy później napędzi go z klasztoru. Tak go te smutne myśli nękały, że zebrał się na odwagę i pewnego ranka zapukał do celi swego pierwszego dobrodzieja, ojca Hugona.

— Cóż mi powiesz, staruszkule? spytał ojciec Hugon dobrotliwie.

— Bo to....proszę przewielebności.... tego.... ciężko mi gadać.... a widzi Bóg, że się już kilka dni zbieram i zbieram.

— Tylko śmiało. Wszak pod bożym dachem wszyscy tu braćmi jesteśmy. Przyznaj się, co ci dolega?

— Mnie nic; ino ja dolegam wszystkim, że już ledwie patrzą na mnie.

— Cóż ci się przywiduje?

— Oj, wielebny ojczule, tak ci jest, jak gadam; a że braciom do krzty obmierzłem, cale niema dziwoty. Ani ze mnie pomocy, ani wysługi. Wczoraj stłukłem ampulki, wino do świętej mszy nalewając; przedwczoraj zdeptałem pięcioro kurcząt co ino wyległych. Anioł Stróż świadkiem, że niechęcacy, ale zdeptałem. Kiedyś posłali mię po rybę na targ, wyskoczyła mi z kosza po drodze; jakiś chybki parobek porwał mi ją z przed nosa i uciekł. Ot,

spać do swojej celi.

Pewnego wieczora dawno już na silentium przedzwoniono; bez ważnej przyczyny nie wolno braciom wtedy chodzić po krużgankach, ani rozmawiać ze sobą. Aliści stała się rzecz, od wielu lat niepraktykowana: ojciec Chryzostom zapukał do celi przeora.

Ten uchylił nieco drzwi i spytał surowo:

— Przecież gwałcisz regułę! Co się stało, że śmiesz spokój zakłócać?

— Raccie mię dopuścić przed swą oblicznością i wysłuchać — odpowiedział Chryzostom. — Już dziesięć razy, albo i więcej, chciałem wam oznajmić rzecz wielkiej wagi, a wzgląd na silentium wstrzymywał mnie.

— Tedy mów, a sprawiaj się krótko.

— Ojciec przewielebny... złe ziele rośnie w waszym ogrodzie...

— Ino bez przepowiadania; wszak rozkazałem ci zwięźle mówić.

— Ano zwięźle.... Ten wyrzutek, ten cyrkowy drab.... wstyd przynosi klasztorowi.

— W jakim sposobie?

— Będzie z miesiąc temu, prawie usypiałem, gdy mię szmer kroków na korytarzu zbudził. Spozieram ostrożnie przez szparę, bo mi się drzwi nie domykają, pozieram, idzie stary Manuel... przy-

co będę głowę zaprzętał waszej wielebności, nic tu po mnie w klasztorze. Raccie mnie pobłogosławić na drogę i pójdę precz.

— A dokąd? — z uśmiechem politowania spytał ojciec Hugon.

— Ano tam, gdzie mi się należy, pod kościół. Śmierć niebawem przyjdzie, niech przynajmniej pracowitym ludziom nie zawadzam.

— Ostaniesz tu. Zabraniam ci wychodzić z klasztoru! — zawołał z udanym gniewem zakonnik. Od dziś biorę cię do swoich usług, bom i ja już leciwy, częstokroć lada czem się męczę. Zamieścisz mi celę i przyniesiesz wody. Pojdiesz ze mną do chóru, ino nie śpiewaj, a cicho pacierze odmawiaj, bo ci Pan Jezus nie użył głosu nadobnego ku słuchaniu. Każdy człek pocziwy, o zbawienie dbały, chwali Boga, jak umie, a stara Mu się przypodobać, czem może. Tak czyn i ty, a mile będą widziane w niebie wszelkie twoje sprawy.

Ostatnie słowa ojca Hugona utkwiły w sercu i pamięci Manuela. "Chwal Boga jak umiesz, staraj Mu się przypodobać czem możesz".

Przycichły swary, braciszczowie przestali się zajmować pajacem-niezdara, bo go całymi dniami nie widywali. Przesiadywał w kąciku izdebki oca Hugona, cichy, pokorny, czekający rozkazów. Dopiero po ostatnich wieczornych modlitwach szedł

brany w swoje błazeńskie świecidełka, w oną trąbę wyzłacaną na głowie, całe takusieńki, jak go przed rokiem chorego do nas przyniesiono. Złe natchnienie miał Hugon, że tych grzesznych łachmanów nie spalił.

— Śniło ci się! — ostro mu przerwał ojciec Ambroży.

— Nie; widziałem go tak, jak was widzę, bo stoczek sobie przyświecał, więc jasno było.

— Co dalej?

— Znikł mi na zakręcie, a nie śmiałem celi o-puszczać.

— I więcej nic?

— Owszem, to samo, co widziałem raz, powtarza się codzień. Przeto dziś, wyprzedzając tę jego niecną wędrówkę, przychodzę po was, abyście się przekonali naocznie, jako nie kłamię.

— Cóż ten człek czyni? Jak ci się zda?

— Kto go wie... Może cichaczem dorobił sobie klucz od furty i schadzki jakieś urządza z pijakami, albo z inszymi złoczyńcami.

— Jeśli to wszystko prawda, to słuszna jest, bym zobaczył sam. Daj znać ojcu Hugonowi, pójdziemy razem.

Stawił się ojciec Hugon na zawołanie. Poszli w stronę izby Manuela, i ukryci w cieniu za filarem, czekali.

Krótko czekali.

Drzwi skrzypnęły zcicha, oczom zakonników ukazał się stary kuglarz w żółtym atlasowym kubraku, wyszywanym galonkami, w czerwonych nagawicach i czapie spiczastej. W jednej ręce trzymał zaświecony stoczek, w drugiej jakieś przedmioty, związane w szmatkę. Szedł na palcach, ale prędko; spieszno mu było. Gdy się oddalił kilkanaście kroków, trzech zakennicy wynurzyli się z poza filaru ostrożnie.

— Dokąd on idzie? — szepnął przocer. — Nie ku furcie?

— A nie, do wirydarza się kieruje — odparł Chryzostom. — Rozumiem.... drabinkę przystawi i przez mur przelezie.

— Ale poco? — dziwował się ojciec Hugon, strapiiony grzesznym zachowaniem się swego protegowanego.

Szli popod krzakami, trawa głużyła ich krcki.

W samym środku ogrodu bielila się kamienna statua Matki Najświętszej z Dzieciątkiem na ręku.

Manuel doszedł do postumentu, zgasił stoczek i spojrzął w niebo.

— A jakże; chmurki się rozeszły, miesiąc świeci — rzekł sam do siebie.

Przyklęknął i zmówił głośno Zdrowaś Marja z wielką pobożnością.

Ojcowie czekali zdumieni, co się stanie.

Rozwiązał chustkę, wyjął z niej cztery piłki ze szmatek uwite, cofnął się o dwa kroki, i jakby do żywej osoby, przemówił do posągu:

— Dziś, Panienko święta, pokażę Twemu synaczkowi całe inszą sztukę, niż wczoraj. Przypatrz się, Jezuniu najśłodszy, jak to stary Manuel pięknie piłeczki podrzuca! Cztery ich jest, uważaj dobrze, ani jedna nie spadnie.... o! To się tak robi....

Wyrzucił piłki w górę, podśpiewując swym chrapliwym, drżącym głosem, i łapał zręcznie jedną po drugiej.

— A kozła magnąć? Pozwoli Paniąteczko? Manuel już nie ten, co przed laty, Manuel już stary.... kości bolą.... ale Tobie na chwałę, Dziecinko najśliczniejsza, postaram się, jak ino zdołę najlepiej. A Ty nie dopuść, abym Twe święte oczy niezgrabnością obraził.

Rzucił się o ziemię, stanął na rękach i przetańczył dwa razy w kołko. Zadyszał się, drżał cały ze zmęczenia, więc przysiadł na kamiennym stopniu i ścisnął skronie rękoma.

Za chwilę wstał i jakimś rozradowanym, a najgłębszą pokorą brzęmiącym głosem szepnął:

— Czy i dziś wolno w nóżkę pocałować?

Tuż za krzakami stało trzech ludzi, trzech sędziów, z zapartym oddechem, w osłupieniu.

Oto kamienna postać Bożej Matki poruszyła się, ręce ujęły w pól Dzieciątka i spuściły je niżej, niżej.... aż ku ustom Manuela.

— O Panie Jezu!.... Rączynę mi dajesz? Pozwalasz pocałować? Nie godzien ja nędzny grzesznik takiej łaski.... Ale Ty mię znasz, Panie.... Ty wiesz, jako Cię z całej duszy miłuję!

Biały obłok przysłonił księżyc na chwilę, i popłynął dalej.

U stóp kamiennego posągu leżał Manuel z twarzą ku niebu, nieżywy.

